TOŻSAMOŚĆ · #POLITYKA NARODOWA

CISI ZABÓJCY PAŃSTWA NARODOWEGO

Sergiusz Muszyński · 1 maja 2026



Po kilkudziesięciu latach od zawarcia traktatu paryskiego twierdzenie, że integracja europejska i podmiotowość narodowa stoją do siebie w opozycji stało się w zasadzie truizmem. To, przed czym narodowa prawica ostrzegała w toku kampanii referendalnej w 2003 r., stało się faktem. Unia Europejska decyduje już niemal o wszystkim, a bez jej zgody rząd w Warszawie nie jest w stanie przeprowadzić żadnej poważnej reformy. Obserwujemy stale postępujący rozkład państwa narodowego, w którego miejsce wkracza władza integracyjna. Znaczący jest jednak fakt, że istotną część swojego władztwa instytucje unijne pozyskują bezprawnie, na drodze całkowicie pozatraktatowej.

Czym jest Unia Europejska?

Zanim jednak przejdziemy do analizy tego zjawiska, powinniśmy poświęcić kilka zdań samemu pojęciu państwa oraz jego suwerenności, by następnie odnieść je do struktur integracyjnych. Czym jest więc państwo? W klasycznym prawie międzynarodowym wskazuje się zazwyczaj trzy elementy, które konstytuują jego istnienie, tj. posiadanie przezeń ludności, terytorium oraz organów najwyższej władzy. Z kolei suwerenność definiuje się jako kompetencje tychże organów do normowania wszystkich stosunków wewnątrz państwa (całowładność) oraz ich prawną niezależność od jakichkolwiek czynników zewnętrznych

(samowładność)[1]. Oznacza to, że każde suwerenne państwo posiada władze sprawujące pełną kontrolę nad określonym terytorium i zamieszkującą je ludnością, w tym monopol na stanowienie i egzekwowanie prawa.

Oczywiście w ramach swojej suwerenności państwo może dobrowolnie zaciągać określone zobowiązania międzynarodowe. Może również zgodzić się na rozstrzyganie sporów w tym zakresie przez powołane do tego celu trybunały. Niemniej nawet w takim przypadku władze państwowe z nikim nie dzielą się swoim monopolem rządzenia. Aby orzeczenie trybunału międzynarodowego mogło odnieść skutek wewnątrz kraju, musi ono być przecież zaimplementowane do danego systemu prawnego zgodnie z jego wymogami konstytucyjnymi. Żadna ustawa krajowa nie traci mocy sama przez się, na skutek decyzji jakiegoś międzynarodowego gremium. Taki werdykt tworzy jedynie zobowiązanie międzynarodowe, które powinno zostać przez państwo dopiero wykonane. Oznacza to, że nierzadko w praktyce państwo może swoich zobowiązań nie realizować, być może tracąc tym samym pewną wiarygodność wobec swoich partnerów lub ponosząc inne konsekwencje polityczne. Z tego powodu w sytuacjach naprawdę kryzysowych traktaty nierzadko pozostają jedynie zapisanymi stronicami papieru. Nie istnieje bowiem żadna „ponadnarodowa policja" zdolna zmusić suwerenne państwo do określonego działania.

Jak odnieść powyższe do Unii Europejskiej? Trudno jest mówić o suwerenności, gdy na danym terytorium państwowym działają niejako dwie konkurencyjne wobec siebie władze. W przypadku państwa członkowskiego UE nie możemy mówić o wspomnianym „monopolu na stanowienie i egzekwowanie prawa" wobec ludności zamieszkującej określone terytorium. Organy unijne nie są bowiem w swojej istocie czymś zewnętrznym w stosunku do rządu narodowego, tak jak organy innych organizacji międzynarodowych. Stanowią one w końcu prawo, które w określonych przypadkach wprost, na mocy wyłącznie jego wydania, obowiązuje na terytorium naszego kraju. Także stosunki prawne wewnątrz naszego państwa są bezpośrednio regulowane zarówno przez polskie organy ustawodawcze, jak i instytucje unijne. Przy czym skuteczność ustawodawstwa unijnego jest odpowiednio zabezpieczona przez stosowne mechanizmy prawne. Mamy więc do czynienia z funkcjonowaniem na danym terytorium dwóch władz – polskiej i unijnej – działających obok siebie. Co więcej, w przypadku kolizji między polską ustawą a obowiązującym rozporządzeniem unijnym pierwszeństwo zapewnia się prawu unijnemu. Bardziej niż relację państwa z organizacją międzynarodową przypomina to system quasi-federalny, w którym obok siebie funkcjonuje władza regionalna zachowująca pewną autonomię oraz władza centralna wyposażona w określone władztwo.

Także odniesienie wcześniej opisanych kryteriów państwowości do Unii Europejskiej powinno wzbudzić nasz niepokój. Do pewnego stopnia można przecież powiedzieć, że UE ma ludność – obywateli Unii Europejskiej. To właśnie obywatele UE (a nie poszczególne państwa) są traktatowo reprezentowani w Parlamencie Europejskim, gdzie wręcz zabroniona jest budowa frakcji na podstawie narodowych przedstawicielstw. Cudzoziemcy będący obywatelami Unii mają zapewnione określone prawa polityczne (bierne i czynne prawo wyborcze w wyborach lokalnych i do PE), jak również generalnie nie mogą być dyskryminowani ze względu na przynależność państwową. Traktaty nie tylko korzystają z wyrażenia „terytorium Unii", mówiąc o terytorium jej państw członkowskich, ale i uznają, że UE ma „wspólne granice zewnętrzne". Mając własne terytorium i granice, Unia posiada także swoją politykę azylową i wizową, a nawet walutę (euro) i własny bank centralny. To samo dotyczy organów władzy quasi-państwowej, która – jak opisano wyżej – na owym „terytorium Unii" stanowi w sposób bezpośredni prawo wtórne, mające fak-

tyczne pierwszeństwo przed przepisami krajowymi.

W teorii jednak Unia Europejska oparta jest na tzw. zasadzie przyznania. Oznacza to, że instytucje integracyjne wyposażone są jedynie w takie kompetencje, jakie im zostały przyznane w traktatach. Utworzenie UE miało być bowiem rzekomo suwerenną decyzją równych względem siebie państw, które upoważniły ją do wykonywania określonego władztwa dla realizacji wspólnych celów. W teorii decyzje powinny być podejmowane jak najbliżej obywateli, czyli raczej w państwach członkowskich, a nie na szczeblu brukselskim. Obszary kompetencji unijnych wyliczono enumeratywnie w traktatach i podzielono na kategorie wyłącznych oraz dzielonych między Unię a państwa członkowskie. Wiąże się z tym także reguła pomocniczości, czyli zasada zgodnie z którą organy UE w teorii działają tylko w tych obszarach, w których państwo samodzielnie nie jest w stanie zrealizować określonego celu. Jako że to państwa utworzyły Unię i przekazały jej uprawnienia, teoretycznie to im przysługuje w razie wątpliwości domniemanie kompetencji. Traktaty przewidują również możliwość wystąpienia z UE.

Z powyższego pozornie wyłania się obraz procesu, który choć poważnie ogranicza klasycznie rozumianą suwerenność, podlega niejako kontroli państw członkowskich. W końcu to państwa teoretycznie decydują, jakie kompetencje przekażą organom wspólnotowym. Samo istnienie Unii jest w zasadzie wtórne, jako że pozostaje oparte na woli politycznej jej członków. Czy tak jest w istocie?

Pierwszeństwo prawa unijnego

Historia integracji europejskiej rozpoczyna się od ustalania wspólnych standardów w kwestiach gospodarczych. Wszystko zaczęło się od Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali powołanej na czas 50 lat w 1952 r. Miała ona na celu utworzenie, a następnie regulowanie wspólnego rynku tych dwóch strategicznych surowców. Lata mijały, a władztwo ponadnarodowe rozrastało się na kolejne obszary polityki gospodarczej, przede wszystkim poprzez zniesienie ceł i prowadzenie wspólnej polityki handlowej z państwami trzecimi.

Wraz z postępem integracji zaczęła ona jednak także obejmować sferę czysto polityczną. Powołano do istnienia wspólną walutę euro wraz z posiadającym ogromną władzę Europejskim Bankiem Centralnym. Ponadnarodowe instytucje uzyskiwały realną sprawczość, stając się faktycznie kolejnym ośrodkiem władzy. Oczywiście kreatorem kwestii personalnych pozostawały w teorii państwa. Z czasem jednak w organach ponadnarodowych wzrastała naturalna tendencja do oswobodzenia się spod ich kontroli. Mowa oczywiście o marginalizowaniu mniejszych państw kosztem większych, które nieformalnie zachowywały swoisty pakiet kontrolny.

I tak oto wspólne instytucje stopniowo stawały się narzędziem dominacji, a nawet pewnej kurateli nad mniejszymi państwami. Prym w pchaniu integracji do przodu wiodły Niemcy, czyli kraj, którego ekspansywność po wywołaniu dwóch wojen światowych te struktury miały rzekomo ograniczać. Z każdym kolejnym traktatem, aż do traktatu lizbońskiego włącznie, Unia Europejska zagarniała coraz to większy obszar kompetencji. Z czasem rozrósł się on tak bardzo, a uzyskana władza tak potężna, że rozpoczął się w zasadzie naturalny z punktu widzenia politologii proces rozpychania się jej nawet ponad to, co jest przypisane traktatami.

W teorii przewidziano dwie zasady, które powinny chronić władztwo państwowe przed takim rozwojem sytuacji. Mowa m.in. o wspomnianej wcześniej zasadzie pomocniczości. Fakt, że według szacunków Unia

Europejska stanowi wyraźnie ponad połowę (najczęściej wskazuje się na około 75 proc.) prawa obowiązującego w poszczególnych państwach członkowskich, obrazuje, w jak niewielkim stopniu jest ona przestrzegana.

> Kluczowe znaczenie dla tematu naszych rozważań ma jednak zasada przyznania. Istotną, a chyba niedocenianą rolę w procesie jej faktycznego ignorowania odgrywa Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE), dawniej funkcjonujący pod nazwą Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości (ETS). W skład TSUE wchodzi szerzej nieznana opinii publicznej grupa prawników, wybierana w sposób niezwykle nietransparentny. Jest przy tym sowicie opłacana. Wystarczy wspomnieć, że pensja eurodeputowanego to „zaledwie" 38,5 proc. „podstawowego wynagrodzenia sędziego TSUE".

Władza Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej jest w praktyce ogromna. To on decyduje o interpretacji prawa unijnego, a wręcz można powiedzieć, że w praktyce je „kreuje", jako że członkowie tego gremium cechują się naprawdę wysokim poziomem aktywizmu sędziowskiego. To, jak ważna jest to instytucja, niech zobrazuje fakt, że mimo zakończenia kadencji Marka Safjana w tym gremium w 2021 r. rządowi PiS nie udało się tam skutecznie delegować swojego przedstawiciela. Stało się tak, choć mówimy o elementarnym traktatowym prawie każdego państwa członkowskiego. Stosowne europejskie grupy interesów nie mogły jednak dopuścić, aby środowisko polityczne uznawane za mniej lub bardziej niepokorne kogokolwiek tam wprowadziło. Sam Safjan zakończył urzędowanie dopiero prawie trzy lata po zakończeniu swojej nominalnej kadencji, na początku 2024 r.

Punktem mającym kluczowe znaczenie w temacie naszych rozważań jest orzeczenie ETS w sprawie Flaminio Costy przeciwko E.N.E.L. z 1964 r., którym Trybunał ustanowił zasadę pierwszeństwa prawa wspólnotowego nad krajowym. Nie ma ona bezpośredniego oparcia w traktatach unijnych i bywała przedmiotem sporów orzeczniczych między TSUE a krajowymi trybunałami konstytucyjnymi. Stała się jednak punktem wyjścia do stopniowego poszerzania władztwa UE na kolejne obszary, także przy braku zgody przynajmniej niektórych państw i przy coraz mniejszym zachowywaniu choćby pozorów legalności. Jeśli bowiem uznamy, że ustalane przez instytucje wspólnotowe normy mają bezwzględne pierwszeństwo, także przed normami konstytucyjnymi, państwa faktycznie tracą istotne możliwości obrony przed unijną uzurpacją. Co ciekawe, przy negocjacjach nad traktatem lizbońskim usiłowano przeforsować zawarcie tej reguły bezpośrednio w tekście traktatów unijnych. Całe szczęście bezskutecznie.

Spór o polskie sądownictwo

Niezależnie jednak od powyższego reguła pierwszeństwa prawa unijnego w praktyce bezwzględnie obowiązuje. Kontrorzeczenia wydawane przez niektóre krajowe sądy konstytucyjne są powszechnie ignorowane. Na podstawie tej zasady instytucje europejskie forsują kolejne akty legislacyjne obejmujące przeróżne obszary naszego życia. Oprócz tego przywołują ją również, aby wymusić na państwach określone postępowanie, powołując się przy tym na bliżej niejasne pojęcia „praworządności", „praw człowieka", „demokracji" (a w istocie liberalizmu) czy „wartości europejskich".

Za ilustrację powyższego może służyć toczący się w okresie rządów PiS spór z organami Unii Europejskiej o sądownictwo w Polsce. Ma on ogromne znaczenie nie tylko dla naszego państwa, lecz także dalszego kształtu całego procesu integracji europejskiej. Wydaje się czymś oczywistym, że sfera ustroju sądów nie jest kompetencją przekazaną do właściwości organów unijnych. Należy ona przecież do obszarów regulowanych w poszczególnych konstytucjach i ustawodawstwie, jest więc sprawą czysto wewnętrzną. Każde państwo członkowskie UE posiada własny system sądowniczy, samodzielnie określając zarówno kompetencje sądów, jak i metody powoływania sędziów. Państwo ustanawia ustrój sądów, może go więc również modyfikować. Zgodność ewentualnych zmian z konstytucją to sprawa krajowa podlegająca ocenie w ramach mechanizmów przewidzianych w przepisach narodowych. W przypadku Polski organem do tego uprawnionym jest Trybunał Konstytucyjny.

Tymczasem w odniesieniu do naszego kraju uznano, że jest to kompetencja przypisana nadzorowi unijnemu. Jako że traktaty nie podają ku temu żadnej bezpośredniej podstawy, posługiwano się w tej materii m.in. ogólnymi zapisami programowymi, takimi jak art. 2 Traktatu o Unii Europejskiej („Unia opiera się na wartościach poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego, jak również poszanowania praw człowieka") lub uzasadnieniami czysto publicystycznymi. Na tej podstawie usiłowano wymusić na rządzących wycofanie się z podjętych zmian w sądownictwie. Oczywiście z powołaniem się na nadrzędność prawa unijnego, mimo że przepisy europejskie tej materii nie regulują.

> Co ważne, unijna uzurpacja dotyczyła nie tylko sądów powszechnych, lecz także organów konstytucyjnych państwa, takich jak Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy czy Krajowa Rada Sądownictwa. Bez jakichkolwiek podstaw uznano, że organy unijne mają prawo wypowiadać się o ich ustroju i składzie. Jeśli przyznamy, że instytucje takie jak Komisja Europejska lub Trybunał Sprawiedliwości mają prawo wiążąco wypowiadać się o składzie TK, to nie ma żadnego powodu by nie uznać, że mogą oceniać także prawidłowość obsady innych organów konstytucyjnych, takich jak choćby Sejm czy Rada Ministrów. Jest to bardzo groźne niezależnie od tego, jak oceniamy same reformy przeprowadzone w okresie rządów Prawa i Sprawiedliwości.

Niebezpieczna uzurpacja

Aktywność takich organów jak Komisja Europejska czy TSUE w obszarze polskiego sądownictwa to klasyczny przykład zjawiska, określanego przez prawników jako działalność *ultra vires*, czyli poza obszarem przyznanych kompetencji. Jest to próba samodzielnego, siłowego wkraczania organów unijnych w sferę wewnętrzną zagwarantowaną traktatowo państwom członkowskim. W przypadku Polski postępowanie Unii jest bezprecedensowe, jako że doszło do faktycznego uzurpowania sobie uprawnień do interwencji zmieniającej skład osobowy i ustrój naszych organów konstytucyjnych. Instytucje unijne usiłowały wkroczyć w kompetencje polskiego sądu konstytucyjnego, nakazując pomijanie jego orzeczeń, a nawet w uprawnienia prezydenta (powoływanie sędziów), Sądu Najwyższego czy parlamentu.

Ów proces jest w mojej ocenie potencjalnie dalece bardziej niebezpieczny niż próba zmian traktatów unijnych. Wynika to z faktu, że zmiany traktatowe – przynajmniej te najdalej idące – wymagają przejścia sz-

czegółowej procedury negocjacji, podpisania, a następnie ratyfikowania przez wszystkie państwa członkowskie. Historia traktatu wprowadzającego tzw. konstytucję dla Europy pokazuje, że da się ten proces jeśli nie zatrzymać (jako że mimo przegranych referendów powrócił on pod nazwą traktatu lizbońskiego), to co najmniej poważnie opóźnić. Jego istotne elementy siłą rzeczy muszą odbywać się na oczach opinii publicznej. Wiąże się to zawsze z jakąś debatą, nawet jeśli obie strony nie toczą jej na równorzędnych pozycjach. Z kolei działania *ultra vires* postępują stopniowo, tak że opinia publiczna często nie dostrzega wagi wprowadzanych tylnymi drzwiami zmian. Komisja Europejska i TSUE występują w tym procesie w rolach cichych zabójców suwerennego państwa narodowego. Stopniowo tracimy państwowość, nierzadko nawet tego nie zauważając.

Do powyższego dochodzi fakt, że od pewnego czasu instytucje unijne stosują szantaż finansowy celem wymuszenia zgody na opisywane procesy. W sytuacji oporu względem działań *ulta vires* państwo może zostać pozbawione przynależnych mu środków unijnych. Ten mechanizm okazuje się politycznym perpetuum mobile, ponieważ mało który demoliberalny polityk jest w stanie oprzeć się pozyskaniu dodatkowych pieniędzy na korumpowanie wyborców, zwłaszcza jeśli w tle mamy zbliżającą się kampanię wyborczą. Dotyczy to nie tylko segmentu tzw. praworządności, lecz także innych obszarów nieuregulowanych traktatowo. Wystarczy przypomnieć, jak poszczególne samorządy naprędce wycofywały się z dopiero co podjętych uchwał w obronie rodziny, obawiając się, że w przeciwnym wypadku utracą wspólnotowe dotacje. Coraz częściej przyznawane środki unijne wiążą się bowiem z koniecznością realizacji celów tzw. polityki równościowej.

Ideologia czy „prawa człowieka”?

W tym kontekście warto wspomnieć choćby na marginesie, że jednym z kluczowych obszarów aktywności *ultra vires* organów UE pozostają właśnie kwestie obyczajowe. Wystarczy wspomnieć kilka suchych faktów. W 2018 r. w sprawie wytoczonej przeciwko Rumunii TSUE stwierdził, że nawet jeśli dany kraj nie przewiduje w swoim prawodawstwie tzw. małżeństw homoseksualnych, przynajmniej w pewnym zakresie musi uznawać takowe zawarte w innym państwie członkowskim[2]. Z kolei w 2022 r. niepokornym Węgrom wytoczono postępowanie w związku z przyjęciem przez parlament tego państwa ustawy zakazującej propagowania homoseksualizmu oraz tzw. zmiany płci wśród młodzieży. Jednocześnie Komisja Europejska proceduje projekt rozporządzenia mającego uregulować „transgraniczne sytuacje rodzicielskie”. Jeśli wejdzie on w życie, Polska będzie musiała m.in. uznawać „rodzicielstwo” par homoseksualnych z innych krajów Unii. KE chciałaby także doprowadzić do wprowadzenia w całej UE przepisów karnych dotyczących tzw. mowy nienawiści.

Gdy przystępowaliśmy do Unii Europejskiej, zapewniano nas, że regulacje prawne odnoszące się do kwestii obyczajowych na zawsze pozostaną w gestii państwa członkowskiego. Wygląda jednak na to, że mimo braku formalnego przekazania Brukseli kompetencji do stanowienia prawa w tym obszarze jest to czynione jakby tylnymi drzwiami właśnie na podstawie działań *ultra vires* organów unijnych. To, co wielu Polaków nadal postrzega jako przeciwne naszej wierze i tradycji, w Komisji Europejskiej uznawane jest za „europejski standard” oraz niepodlegające negocjacjom „prawa człowieka”.

Odpowiedź Polski

Niestety polskie władze – zarówno poprzednie, jak i obecne – nie reagują adekwatnie na unijną uzurpa-

cję. Rząd Prawa i Sprawiedliwości, pozornie utrzymując przynajmniej gdzieniegdzie twardą retorykę w relacjach z Brukselą, dla próby pozyskania funduszy wyborczych w postaci KPO w istocie poświęcił polską rację stanu. Co więcej, mimo że finalnie środki do Polski wówczas nie popłynęły, i tak trzeba było spłacać od nich odsetki. W imię interesu partyjnego, którego na dodatek nie udało się zrealizować, ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego przyzwoliło na poważny krok osłabiający naszą suwerenność.

Gra toczyła się bowiem wówczas o zdecydowanie wyższą stawkę niż wygrana jakiegokolwiek środowiska politycznego w wyborach parlamentarnych. Zgoda na „kamienie milowe", uwspólnotowienie długu i powiązanie środków europejskich z tzw. praworządnością była praktycznym wpisaniem się w politykę budowy superpaństwa bez zmian w traktatach – a nawet wbrew i tak już daleko idącym traktatom. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że w okresie rządów poprzedniej ekipy nastąpiła najdalej posunięta erozja suwerenności Polski od 2004 r., porównywalna jedynie z ratyfikacją traktatu lizbońskiego. I to wszystko przy akompaniamencie patriotycznej retoryki, a jednocześnie bez męczących negocjacji nowego traktatu i potrzeby jego ratyfikowania w dwudziestu siedmiu parlamentach. Faktyczna akceptacja tych procesów przez nominalnie prawicowy rząd doprowadza nas do punktu, w którym jedyną faktyczną gwarancją naszej niepodległości staje się przewidziana w prawie pierwotnym UE możliwość wystąpienia z Unii. Czy jednak, co wydaje się sugerować casus przeczołganej Wielkiej Brytanii, w przypadku Polski nie byłoby to prawo czysto iluzoryczne?

Z kolei rząd Donalda Tuska wręcz otwarcie wpisuje się w narrację akceptowania pozatraktatowych działań Unii Europejskiej. Powołując się wprost na instrukcje z gremiów ponadnarodowych, nowa koalicja ignoruje obowiązujące w Polsce prawo. Mimo że nikt nie uchylił przepisów regulujących funkcjonowanie takich organów jak Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy czy KRS, rządzący za przyzwoleniem lub wręcz nakazem UE traktują je jako w zasadzie nieistniejące. Dzieje się to w oczywisty sposób w trybie całkowicie nieznanym polskiej konstytucji. Obecna władza wydaje się tym samym jednoznacznie komunikować polskiemu społeczeństwu, że nie ma ambicji rządzenia niepodległym państwem. Wystarczy jej ledwie tytuł administratora z obcego nadania.

> Sytuacja jednak nie jest beznadziejna. Wnioski, które możemy wyciągnąć z przeszłości, pouczają nas, że w kwestiach newralgicznych nie wolno ustępować. Dowodzi tego przykład Zjednoczonego Królestwa, które swoim uporem wywalczyło słynny rabat brytyjski. Podobnie Dania, odrzuciwszy za pierwszym razem traktat z Maastricht, uzyskała szereg klauzul opt-out, w tym wobec przyjęcia euro. Nawet Irlandia, uznawana słusznie za ofiarę nacisków i wymuszenia powtórnego referendum lizbońskiego, otrzymała pewne ustępstwa w kwestiach istotnych wówczas dla jej społeczeństwa.

Wkroczenie Unii Europejskiej w regulowanie polskich spraw ustrojowych to rzeczywiście moment przełomowy. Obecny etap integracji – osiągnięty m.in. metodą *ultra vires* – w zasadzie zburzył podział na sprawy zewnętrzne i wewnętrzne naszego państwa, wplątując je w sieć niezwykle groźnych zależności. Nie możemy na to pozwolić, niezależnie, czy nasza zgoda miałaby wynikać z choćby najsilniejszej presji szantażu finansowego, czy kultu pogańskiego bożka integracji europejskiej. Sprawy nie ułatwia nam polskie społeczeństwo, które po latach propagandy pozostaje bezkrytyczne względem brukselskich instytu-

cji. Jesteśmy być może jedynym państwem, w którym według badań opinii publicznej naród bardziej ufa gremiom ponadnarodowym niż własnym organom konstytucyjnym[3]. Tymczasem stawką tej batalii nie są jednak te czy inne wybory, ale w ogóle praktyczne przetrwanie naszej państwowości.

Podsumowanie

Najistotniejszym punktem spornym w tej batalii pozostaje rozstrzygnięcie, kto decyduje, jakie w istocie kompetencje zostały Unii przekazane. W narracji instytucji europejskich miałoby to być rolą TSUE, co od lat w istocie prowadzi do stopniowej budowy superpaństwa metodami *ultra vires*, ponad głowami poszczególnych narodów. Linia orzecznicza tego gremium jest bowiem jednoznacznie antypaństwowa, wspierając – choćby bez oparcia w faktach – interpretację prawa europejskiego w duchu „coraz ściślejszej Unii".

Na skutek celowej polityki jednych, a przy bierności pozostałych państw, TSUE w toku integracji wypracował sobie niejako specjalny status. To właśnie ten sąd, wspierany przez Komisję Europejską, pozostaje obecnie faktycznym motorem integracji europejskiej i cichym zabójcą państw narodowych. Fakt, że UE w teorii opiera się na traktatowych delegacjach do wykonania zadań leżących uprzednio w gestii władz państwowych, staje się w praktyce pozbawiony znaczenia. Obecnie to już nie państwo, a więc organ, który delegował uprawnienia, rozstrzyga, jakie kompetencje w istocie przekazało. Czynią to sędziowie TSUE, niemający oporów niejako samodzielnie sięgać po uprawnienia, których nikt nigdy im nie udzielił.

Wydaje się, że niestety w najbliższych latach w Polsce nie ma perspektyw do jednoznacznego zwycięstwa sił narodowej prawicy, z którą moglibyśmy wiązać nadzieję na realny opór wobec tych zjawisk. Z kolei Prawo i Sprawiedliwość, rządząc, udowodniło, że przy całej patriotycznej retoryce wyborczej w istocie swoją polityką wpisuje się w te procesy. Pozostaje mieć nadzieje, że w przynajmniej niektórych krajach wzrastać będą siły nieliberalne, które ułatwią nam dotarcie z przekazem do polskiego odbiorcy, nadal pozostającego w znacznej mierze pod czarem „europejskiego snu".

---

[1] R. Bierzanek, J. Symonides, *Prawo międzynarodowe publiczne*, Warszawa 1985, s. 124, 125.

[2] Wyrok TSUE w sprawie Coman i inni przeciwko Rumunii.

[3] *Eurobarometr: Polacy ufają UE 2,5 raza bardziej niż polskiemu rządowi*, https://www.rp.pl/spoleczenstwo/art37000181-eurobarometr-polacy-ufaja-ue-2-5-raza-bardziej-niz-polskiemu-rzadowi [dostęp: 22.07.2024].

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=Xn21zyD2WoM

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/cisi-zabojcy-panstwa-narodowego/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć